

*Autor  
bestsellerów*  
**THE  
KILLING**

**DAVID HEWSON**  
**DOMEK DLA  
LALEK**





Poniedziałek, 17 kwietnia

– Vos?

Laura Bakker zdążyła już przeszukać wszystkie sale Rijksmuseum.

– Pieter Vos?

Szczupły, niezbyt wysoki mężczyzna w bladozielonej kurtce zimowej, która pamiętała lepsze czasy. Gdy tak siedział na ławce przed największym domkiem dla lalek, jaki w życiu widziała, wydawał się jej młody i stary jednocześnie. Jego sylwetka, długie brązowe włosy, pomięta i zniszczona odzież pasowały do kogoś w średnim wieku. Ale na twarzy brakowało zmarszczek, malowało się tylko zaciekawienie i czujność. Była to twarz ulubionego nauczyciela albo troskliwego, cierpliwego kapłana. A w niebieskich oczach, których nie odrywał od domku dla lalek, dostrzegła jasny, twardy błysk niczym w ceramice stojącej na kominku u nich w Dokkum. Te oczy wpatrywały się uporczywie. Z inteligentnym wyrazem.

Zanim na polecenie de Groota wyruszyła rowerem z komisariatu znajdującego się niedaleko stąd, na Marnixstraat, przeczytała akta. Pieter Vos, lat trzydzieści dziewięć. Dwa lata temu, po bezowocnym śledztwie w sprawie zaginięcia jego córki Anneliese, odszedł ze służby. Teraz prowadził skromne, ekscentryczne życie na łodzi w Jordaanie, z trudem wiążąc koniec z końcem za marne grosze przedwczesnej emerytury.

Bakker wyciągnęła przyniesioną teczkę. Dokumenty, zdjęcia – wszystko się rozsypało. Zakłęła. Parę osób odwróciło się w jej stronę. Pozbierała rozrzucone rzeczy z podłogi i byle jak wcisnęła je z powrotem do teczki.

Teraz patrzył już na nią. Spojrzeniem, które znała. Spojrzeniem, które mówiło: „Ale niezdarą”.

– Vos? – spytała, zerkając na zdjęcie z legitymacji służbowej, by upewnić się, że to właściwy człowiek. Za czasów pra-

cy w policji Vos wyglądał jeszcze młodziej. Przeżycia dodały mu lat.

De Groot był jego szefem. A także bliskim przyjacielem, jak zrozumiała. Mocno przeżył odejście Vosa. Słynny amsterdamski policjant porzucił służbę i zajął się... czym?

Naprawianiem zniszczonej łodzi mieszkalnej na Prinsengracht, niespełna pięć minut piechotą od biurka, które kiedyś zajmował. Stare wycinki prasowe wychwalały Vosa, mówiły, że jest jak bicz na przestępców, pisały, że nieco ospały, skromny detektyw ze wzruszeniem ramion i uśmiechem rozniósł miejskie gangi na strzępy. Co prawda niewiele tych wycinków znalazła. Detektyw Vos unikał zainteresowania mediów. Uciekł od niego, gdy zaginęła jego córka, zdruzgotany świadomością – w każdym razie zdaniem gazet – że może to jego zawodo- wa gorliwość doprowadziła do jej porwania. Potem nastąpiły bezowocne poszukiwania, a wreszcie Vos odszedł ze służby. Anneliese stała się jedną z wielu pozycji w kartotece osób zaginionych. Sprawą umorzoną, zarchiwizowaną, pokrywającą się cyfrowym kurzem.

Z kieszeni Vosa wychodził kabelek; od słuchawek, które miał w uszach. Pochyliła się, delikatnie mu je wyciągnęła i ze zdumieniem usłyszała dobiegający z nich blues-rockowy kawałek *Willie the Pimp*.

– Pieter Vos? – spytała ponownie i, nie wiedzieć czemu, sięgnęła do jego ramienia. Długie, rozczochrane włosy i sfatygowane ubranie... w tym człowieku było coś kruchego. Z trudem dałoby się powiązać tę spokojną, zaabsorbowaną postać z brygadierem, który tyłu wsadził za kratki. – Nie ma pan czasu słuchać Zappy. Komisarz de Groot chce pana widzieć w swoim gabinecie. Proszę zabrać rzeczy. Idziemy.

– Co pani wie o Zappie? – spytał miłym, ubawionym głosem.

– Mój tata go lubił. Słuchał go całymi nocami, przy każdej możliwej okazji. Idziemy.

– Dlaczego Frank przysłał po mnie dzieci? – spytał i ponownie wsadził do uszu słuchawki.

Usiadła obok niego na ławce, skrzyżowała ramiona na piersi, zastanawiała się chwilę, po czym sięgnęła do jego kieszeni i wyszarpnęła kabelek od słuchawek.

Na jego twarzy odmalowało się jednocześnie zaskoczenie i oburzenie.

– Niezłe. – Bakker wskazała gablotę, przed którą siedzieli.

Domek dla lalek Petronelli Oortman był skomplikowaną konstrukcją o dobrą głowę wyższą od Pietera Vosa. Miniatura amsterdamskiego domu nad kanałem. Trzy piętra, na każdym trzy pomieszczenia i klatka schodowa. Kuchnia, salon, pokój dziecięcy, meble i obrazy, zastawa stołowa i delikatne, miniaturowe kotary. Wpatrywał się w niego bez końca, a ona wiedziała dlaczego.

– Nazywam się Laura Bakker. Mam dwadzieścia cztery lata i zdecydowanie nie jestem dzieckiem.

Gdy obrócił na nią spojrzenie jasnoniebieskich oczu, nie miała już nic do powiedzenia.

– Tęsknisz, Lauro, za zielonymi polami Fryzji?

To przez akcent. Mieszkańcy Amsterdamu patrzyli z góry na wszystko, co niestołeczne. Ona pochodziła z prowincji. Tamtejsi ludzie byli prości, może nawet głupi.

– Fryzja to nie tylko zielone pola – odparła.

– Co robi twój ojciec, gdy nie słucha Zappy?

– Jest rolnikiem.

Była wysoka. Może nawet patykowata. Ładne rude włosy związała z tyłu głowy – fryzura praktyczna i idealna do pracy. Laura Bakker niezbyt się przejmowała swoim wyglądem. Miała pociągłą twarz, bladą i, we własnym mniemaniu, nieciekawą. Niewiele się zmieniła od czasów nastoletnich.

– Tęskni pani za nim? – spytał.

– Tak, ale on nie żyje. Mama też. Ale to nie ma znaczenia. Proszę zabrać swoje rzeczy, dobrze?

Ani drgnął.

Wyjęła z torby kolejną teczkę i niemal wysypała jej zawartość na podłogę. Spojrzał na nią, unosząc ciemną brew, a następnie wrócił do wpatrywania się w domek dla lalek.

– Kosztował Petronellę dwadzieścia, trzydzieści tysięcy guldów. Prawdopodobnie tyle samo co jej dom na Warmoesstraat. A teraz pewnie jest tam coś ee shop sprzedający napitym Anglikom kiepską marihuanę.

– Można by sądzić, że się pan mnie spodziewał. Jak to możliwe?

– Czary. Nie czytała pani akt?

– Nie ma tam nic o czarach. Za to dużo o innych...

– Petronella Oortman była bogatą wdową. Jej majątek pochodził z handlu jedwabiem. Powiększał się dzięki handlowi niewolnikami i korzeniami. Więc może... – pogładził się po brodzie, szukając właściwego słowa – może niewiele się zmieniło.

– Warmoesstraat? Czy tam właśnie kupuje pan zioło?

– Powiedziałem, że tamto nie jest dobre.

– Żadne zioło nie jest dobre, panie Vos.

– Pani jest młoda, Lauro. Co pani może wiedzieć?

– Wiem, że zaginęła córka zastępcy burmistrza. Katja Prins. Najwyraźniej nie po raz pierwszy. Ale...

– Frank do mnie dzwonił. Mówił, że wysłał nową aspirantkę. Prostą dziewczynę z prowincji, która najpierw chciała łapać pijanych kierowców w Dokkum, a potem uznała, że może zmieniać świat na lepsze w Amsterdamie. Podał mi pani nazwisko.

Jej policzki oblały się rumieńcem. Palce odruchowo chwyciły dyskretny srebrny krzyżyk na szyi, wyłożony na zwyczajny czarny sweter.

– Mówiąc „prosta”, niewątpliwie miał na myśli „skromna” – dodał Vos spokojnym i nieśmiałym głosem. – Nic niewłaściwego. Powiedział, że rozbiła pani radiowóz...

Ten trop jej się nie spodobał.

– Pańską córkę porwał człowiek, który miał obsesję na punkcie lalek. W wypadku córki Prinsa wygląda to podobnie...

Położyła mu zdjęcie na kolanach. Widniała na nim zabytkowa porcelanowa lalka w białym fartuszk z doczepioną etykietką dowodową. W prawej ręce trzymała kosmyk blond włosów. Plama krwi zajmowała niemal cały przód fartuszka.

Bakker wymierzyła długi palec wskazujący w eksponat przed nimi.

– Wygląda jak lalka z domku Petronelli Oortman, prawda? Taką panu przysłał? Tylko że bez tych blond włosów.

Vos westchnął.

– W moim wypadku włosy znajdowały się w lewej ręce. I plama krwi była mniejsza.

– Katja ostatnio mieszkała w kamienicy w De Wallen...

– Córka człowieka, który stoi na czele rady miasta, mieszka w dzielnicy czerwonych latarni? Czy to nie jest wymowne?

– Nie widziano jej od tygodnia. Laboratorium sprawdza, czy krew i włosy należą do niej. Lalkę zostawiono minionej nocy pod domem jej ojca. W miniaturowej trumience z tekstury. Tak samo jak w pańskim przypadku, tylko że wtedy na Marnixstraat...

Żadnych oznak zaskoczenia. Tylko smutny, zrezygnowany uśmiech. Można by odnieść wrażenie, że to jego naturalny wyraz twarzy.

– Czy Frank mówił pani, że żona Wima Prinsa przez siedemnaście lat była moją partnerką? I matką Anneliese?

Policzki jej poczerwieniały.

– Nie.

– Amsterdam to małe miasteczko. Nie tak małe jak Dokkum...

Vos wrócił do oglądania pokoiczków, mebelków, laleczki porzuconej samotnie w pokoju dziecięcym czterysta lat temu.



– Katja to pokręcona mała ćpunka – powiedział niemal do siebie. – Jej matka też taka była. Popelniła samobójstwo. Dziewczyna nienawidzi swojej macochy. Co w tym nowego?

– Vos...

– Już wcześniej próbowała wyłudzić pieniądze od ojca. On nigdy nie wniósł skargi. Wygląda na to, że dziewczyna ma zwichrowaną wyobraźnię...

– A jeśli się pan myli? Jeśli to ten sam człowiek, który porwał pańską córkę?

Wzruszenie ramion.

– W takim wypadku oczekuję, że wykona pani swoje zadanie lepiej, niż ja to kiedyś zrobiłem. Przepraszam. – Podniósł się z ławki, przeciągnął się, wyjął klucze. – Muszę iść...

– Więc myśli pan, że go tutaj zobaczy? To będzie takie proste? On wejdzie, a pan go rozpozna?

Jej słowa chyba go rozczarowały.

– Nie – odrzekł. – Ale chcę, by on zobaczył mnie. Miłego dnia, pani aspirant. Życzę powodzenia w pracy zawodowej.

Wsadził wtyczkę z powrotem do telefonu, słuchawki do uszu i wyszedł.

Jimmy Menzo siedział w zimnej suterenie przy szarobrązowej bryle Oude Kerk. Przez wysokie okno ze szprosami przenikał cichy pomruk organów. Na zewnątrz, w cieniu przysadzistego kościoła, pierwsze poranne kurwy wyginały się za szybami swoich kabin, przywołując zachęcającym gestem turystów, którzy z szeroko otwartymi oczami przechadzali się ulicą.

Niektórzy przystawali. Inni wchodziłi do co ee shopów. Naćpani czy zalani, tak czy owak sięgali do portfeli. To miasto było maszynką do robienia pieniędzy. Jego maszynką. I tak już zostanie.

W wieku dziewiętnastu lat Menzo uciekł z surinamskich slumsów, porzucając nędzę Ameryki Południowej na rzecz Holandii, okrutnego nowego świata, do którego zawitał wyposażony jedynie w garść guldenów, dwie potężne pięści pokryte bliznami i głowę pełną zawiści i ambicji.

Po dwudziestu latach wciąż mieszkał w domu nad wodą, niedaleko dzielnicy czerwonych latarni, gdzie działały jego co ee shopy i jego burdele, jego kabiny wynajmowane niezależnym prostytutkom i jego narkotykowa sieć dostaw oplatająca rejon przez miejscowych nazywany De Wallen. I ta sieć przynosiła mu największe zyski.

Od Dworca Głównego na północy po Spui na południu, od Nieuwmarkt do Damrak – serce Amsterdamu należało do człowieka, który opuścił szopy Paramaribo, za cały dobytek mając trochę łachmanów i kilkaset dolarów amerykańskich doprowadzonych z nieudanej dostawy koki.

Zasłużył sobie na tę nagrodę. Wywalczył ją. A dobry los sprawił, że jego ostatni rywal, Theo Jansen, tra ł do więzienia.

Stało się to dwa lata temu. Minęły dwadzieścia cztery miesiące, podczas których Menzo walczył dniem i nocą o przejęcie każdego najdrobniejszego fragmentu imperium Jansena,

manewrując poczuciem lojalności za pomocą pieniędzy, perswazji, ciężkiej pięści czy – w razie potrzeby – lufy pistoletu.

To była swego rodzaju wojna i jak większość dzisiejszych konfliktów nie miała się nigdy zakończyć.

Po drugiej stronie stołu wierciła się dwójka młodziaków. Mniej więcej w ich wieku Menzo przybył do Holandii, przechwalając się fałszywym paszportem i podrobionym pozwoleniem na pracę. Brzydki jak on, brutalni, wypatrujący okazji. Pochodzili z Surinamu, dawnego spłachetka Holandii na skraju Ameryki Południowej. Niskie, krępe bandziory z aspiracjami, od niedawna w mieście; jeden ubrany w błyszczący niebieski dres, drugi w czerwony.

Cztery sztuki broni na zniszczonym drewnianym stole. Dwa pistolety maszynowe, dwa samopowtarzalne walthery P5s, takie same, jakich używa policja. I nie był to zresztą zbieg okoliczności, choć Menzo nie powiedział tego na głos.

Dwie przygarbione, przerażone postaci nie mogły oderwać wzroku od tego arsenału.

– Zamierzaliśmy zostać dłużej. – Niebieski. Ten dzielny.

Menzo rzucił na stół teczkę, otworzył ją. Umilkli wpatrzeni w masę zielonych banknotów.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dwa paszporty z Antyli. Dwa bilety do Kapsztadu. Biznesklasą.

– Biznesklasą – powtórzył Czerwony, sięgając do aktówki.

Oskrzelowy kaszel palacza. Menzo był mniej więcej tej samej wielkości, krępy, zbirowaty, silny, nie z tych, co by się mięgli od bójki. Dziobata, gburowata twarz. Małe oczka. Śniada cera.

Podał im kartkę pokrytą schludnym kobiecym pismem Miriam. Adres na Prinsengracht.

– Miriam wam wszystko wyjaśni. Po robocie idziecie tu. To sklep. Stąd bierzecie pieniądze. I bilety.

Patrzyli na kartkę jak tępe uczniaki na niezrozumiałą pracę domową.

– Kiedy możemy wrócić? – spytał Niebieski.

– Nigdy. Bierzecie pieniądze i robicie to, co ja. Ruszacie własną drogą. Mam tam przyjaciół. Pomogą wam na początku. Młodziaki spojrzali po sobie.

– Co to za sklep? – spytał Czerwony.

Menzowi podobały się ich kretyńskie pytania, przetrząsnął kieszenie marynarki. Czarny jedwabny garnitur, elegancki, dopasowany, opięty. Uszyty dla niego przez krawca w Bangkoku, dokąd jeździł w interesach i dla zażycia odrobiny rozkoszy.

Dwie wizytówki z tym samym ślicznym obrazkiem. Wykonana z drewna miniatura amsterdamskiego mieszczańskiego domu. Małe różowe krzeselka, a na nich jeszcze mniejsze postaci.

*Poppenhuis aan de Prinsengracht.*

Domek dla lalek na Prinsengracht. Wizytówki rozdał chłopakom.

– Lalki? – spytał Czerwony.

– Nic się nie bój – odparł Menzo. – Już ich tam nie ma. Jakiś czas temu ktoś się pozbył tych wszystkich ładnych rzeczy.

– Mam tu siostrę – odezwał się Niebieski. – Dopiero zaczyna sobie radzić. Pracuje w jednej z pańskich restauracji. Potrzebuje mnie. Jeśli wyjadę...

– Zajmę się twoją siostrą. Zrobię z niej kierownika. Dam jej bar. Czy coś tam.

Szeroki przyjazny uśmiech.

– Spytajcie, kogo chcecie. Robisz, co każe Jimmy Menzo, i jesteś ustawiony na całe życie. Dbam o swoich ludzi. Nawet jeśli są gdzieś daleko.

– Mamy wybór? – spytał szybko Niebieski, a Menzo pomyślał, że może nie docenił tego surinamskiego smarkacza; nowego tutaj, z dwoma zabójstwami na koncie, ściganego przez policję na całym kontynencie i na Karaibach.

– Pewnie, że macie.

Zapalił papierosa, posłuchał astmatycznych tonów kościelnych organów. Choć teoretycznie nadeszła wiosna, wciąż było zimno i łało, tylko chwilami pojawiało się słońce.

Zdjął ze stołu teczkę, położył ją na podłodze. Tamci nie odrywali wzroku od broni.

Menzo wstał, uśmiechnął się do nich. Wtem rzucił się do stołu, w prawą garść chwycił pierwszy z brzegu pistolet maszynowy. Podsunął lufę pod nos najpierw Czerwonemu, potem Niebieskiemu. Śmiejąc się cały czas.

– Miriam! – wrzasnął.

Otworzyły się drzwi. Wyższa niż Menzo, o sylwetce koszykarki. Tuż przed trzydziestką. Długa twarz, w jednej czwartej chińska, jak kiedyś powiedziała, a on w to uwierzył. Dziewczyna z Trynidadu, prawie nie mówiła po niderlandzku. Tylko po angielsku.

– Co jest? – spytała.

Brązowe futro. Nie miał pojęcia, jakie dokładnie, a zresztą go to nie obchodziło. Dostawała każde pieniądze, ile tylko sobie zażyczyła. I dużo dawała w zamian.

– Ci chłopcy się do tego nie nadają – orzekł Menzo. – Zawieź ich na dworzec. Wsadź w jakiś pociąg. Wkurwiają mnie.

Surinamscy smarkacze wstali powoli, spojrzeli tępo po sobie.

Kobieta podeszła, obrzuciła ich wulgarnymi obelgami po angielsku, groźnie błyskając białkami wielkich, bacznych oczu.

– Pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Ileście zarabiali w Paramaribo, gnojki?

Milczenie.

Pochyliła się nad nimi. Imponująca. Miała w sobie coś kuszącego i groźnego jednocześnie. Menzo uwielbiał to, że potrafiła przerazić mężczyznę i w tym samym momencie wzbudzić w nim pożądanie.

Młodziaki zadygotały. Bardziej niż wcześniej przed nim.

– Ile? – dopytywała się Miriam. – No ile?!

– Pieniądze to za mało, gdy człowiek nie żyje – wymamrotał Niebieski.

Długie palce wsunęła w jego rzadkie, tłuste włosy, potrząsnęła jego głową. Mocno. Menzo patrzył i chichotał.

– Ale przecież żyjesz, chłopcze! – wrzasnęła. – I to lepiej niż my, gdy tu przyjechaliśmy. Będziesz w jakimś niedrogim ciepłym i słonecznym miejscu. Gdzie nikt nie wie, kim jesteś. Czy to jest takie trudne do zniesienia?

Wpatrywali się w podłogę. Menzo odłożył na stół długi czarny pistolet.

– Ani trochę – powiedział, po czym znowu otworzył walizkę, wyjął zwitek dolarów, pomachał im nimi przed nosem.

– Co mamy zrobić? – spytał Czerwony.

Bitwa wygrana.

– To, co każe wam Miriam. O szóstej odlatuje samolot do Londynu. Śniadanie zjecie w Kapsztadzie. A potem zaczniecie nowe życie.

Poklepał czarny pistolet.

– Słyszycie? Nowe życie. Odrobina wdzięczności byłaby mile widziana.

Menzo czekał. Miriam Smith czekała, wyprostowana, z ramionami splecionymi na klatce piersiowej skrytej pod brązowym futrem.

– Dziękuję – odparł posłusznie Czerwony.

– Właśnie – dodał Niebieski, wpatrując się w zimną kamienną podłogę.

Sam jak zwykle siedział u kobiety z ochrony, z którą Vos się zaprzyjaźnił. Teraz odebrał psiaka, podziękował i wyszedł z nim na zewnątrz. Deszcz ustawał. Vos wsadził białobrązowego foksteriera do przedniego koszyka rdzewiejącego czarnego roweru, poprawił zainstalowaną dla niego plastikową osłonę, wyjął z kieszeni kurtki dwie gumki i założył je na skraj nogawek szerokich, niemodnych, pogniecionych i wytartych dżinsów, żeby mu się nie wkręciły w łańcuch.

Zappę zastąpił Van Halen. Vos wyjął słuchawki i wsadził je do kieszeni. Jeszcze popatrzył na dżinsy, rozpadający się czarny rower, psa w koszyku. Następnie włączył się do porannego ruchu na dziesięciominutową przejażdżkę do łodzi przy Prinsengracht.

Rowerzyści i tramwaje. Samochody i motory. Wśród tego wszystkiego skołowani turyści, którzy nie wiedzieli, gdzie pa-trzeć.

Zapytał Franka de Groota wprost: czy są jakieś nowe informacje w sprawie Anneliese? Choćby cień dowodu, że coś ją łączy z córką Prinsa, oprócz lalki? Cisza, która mu odpowiedziała, była aż nadto wymowna.

Pies, zaledwie półtoraroczny, wykonał w koszyku trzy obroty, żeby się usadowić, a gdy rower nabrał prędkości na Leidseplein, przysiadł znudzony na tylnych łapach i wystawił długi nos i brodę na wiatr. Kręcił z rozkoszą łbem, otwierając pysk i odsłaniając białe zęby w ewidentnym uśmiechu.

Po pierwszej kropli deszczu schowałyby się pod osłoną. Ale spod szarego całunu zimy powoli przebijała się wiosna. Lipy obsiewały ulice swoimi lekkimi jak piórko łuseczkami niczym wysokie posągi rozrzucające zielonkawe konfetti przed oblubieńcami. Psu spodoba się drugie leniwe lato na wodzie, będzie się wygrzewał na pokładzie pośród zniszczonych donic

z warzywami i kwiatami i rozkoszował się uwagą turystów trzaskających setki fotek. Choć bardziej anonimowo, Vos też będzie się cieszył tym latem. A nim rok dobiegnie końca, Łódź będzie wreszcie wyremontowana. On zaś może pomyśli, co dalej.

Usłyszał za sobą wściekły brzęk dzwonka i kilka przekleństw po angielsku. Gdy wjechał na długą, prostą ścieżkę rowerową nad kanałem, u jego boku pojawiła się pedałująca energicznie Laura Bakker, złorzeczając pod nosem na turystów.

Jechała pordzewiałym, oliwkowym babciowym jednośladem z wysoką kierownicą, sztywno wyprostowana, a niesforne pasma rudych włosów powiewały za nią na wiosennym wietrze. Szary kostium ze spodniami wyglądał jak żywcem wyjęty z lat siedemdziesiątych. Właściwie cała Laura Bakker tak wyglądała.

Zauważył, że trzyma w ręku telefon. Rozmawiała w czasie jazdy, przez co nie widziała, gdzie jedzie. Albo, co gorsza, esemesowała. Gdy tak patrzył, aparat omal nie wypadł jej z dłoni. Złapała go tylko dzięki nieporadnej, świadomej reakcji kogoś, kto wie doskonale, jaką jest niezdarą.

– Vos! Vos! – krzyczała, gdy już chwyciła pewnie komórkę.  
– Niech mnie pan posłucha! Proszę się zatrzymać! Komisarz de Groot chce to z panem omówić osobiście.

Łódka wycieczkowa płynąca po kanale zwolniła. Grupa ludzi na dziobie zaczęła robić im zdjęcia. Sam, z łapami na krawędzi koszyka, z łebkiem wystawionym na wiatr, potrząsnął grzywą. Wyglądał jak modelka pozująca do obiektywu.

– Po co, u diabła, de Groot cię wysłał? Akurat ciebie? – spytał Vos, nie odrywając oczu od drogi.

– A co ci we mnie nie pasuje? – Sprawiała wrażenie urażonej. – To, że jestem z Dokkum... nie znaczy, że jestem tępa-kiem. – Zerknęła w kierunku Marnixstraat. – Cokolwiek ludzie sobie myślą.



– Nic takiego nie powiedziałem – burknął Vos. Przebił się przez tłum turystów łączących po ścieżce rowerowej i pomknął dalej.

– Twój piesek jest uroczy – zauważyła Bakker, gdy znowu go dogoniła. Tym razem uśmiech. Przez chwilę wyglądała jak naiwna studentka świeżo po college’u, która próbuje przekonać cały świat, by ją zauważył i potraktował poważnie.

– Nie znasz go – odparł Vos.

– Zawsze chciałam mieć zwierzątko.

Zesztywniał z oburzenia.

– Zwierzątko? Sam to nie jest jakieś zwierzątko.

Laura Bakker wyraźnie się zmartwiła. Nie chciała go urazić.

– Kim więc jest?

Zbliżali się do łagodnie wznoszącego się mostu. Vos mocno nacisnął pedały, znowu zostawił ją za sobą, zdjął dłonie z kierownicy i w rozpaczy wyrzucił ręce w górę.

Turystom śledzącym ich z pokładu łodzi spodobało się to jeszcze bardziej. Kłótnia miejscowych. Może nawet sprzeczka kochanków.

Szybko go dogoniła, teraz więcej pasm rudych włosów powiewało za jej plecami.

– To dziecinada – oznajmiła.

– To, że goni mnie nad kanałem jakiś żółtodziób, to dopiero dziecinada – jęknął i zdał sobie sprawę, że w jego słowach słychać dąsy. – Aresztuj mnie i będziemy mieli to z głowy.

– Nie mogę nikogo aresztować. Nie wolno mi. Zdaniem komisarza de Groota Katja nie próbuje nikogo naciągać. On uważa, że to ma coś wspólnego ze sprawą pańskiej córki...

Dość. Wyciągnął rękę, żeby uspokoić psa, po czym gwałtownie zatrzymał rower. Piesek ujadął radośnie, jakby to wszystko było zabawą.

– Już mówiłem – powiedział, gdy Laura Bakker stanęła przy nim. – Frank dzwonił do mnie rano. Za moją córkę nie żądano okupu. Nie dano mi szansy ocalenia jej. Gdyby...

– Miał pan wtedy dużo pieniędzy?

– Zdobyłbym je. Gdyby zażądał. Ale nie zrobił tego. W ogóle niczego nie zrobił. Anneliese nagle, pewnego dnia...

W lipcu miną trzy lata. A można by pomyśleć, że to się działo wczoraj. Albo w ogóle w jakimś innym życiu. Tragedie rozgrywały się poza normalnym czasem, poza codziennością. Miały niewiarygodną zdolność przygasania i ożywiania jednocześnie. Nie zdarzyło się coś takiego jak domknięcie. To był pusty frazes na użytek terapeutów. Po prostu ból utrzymywał się tak długo, że stawał się znajomy, jak ból zęba czy ból fantomowy amputowanej kończyny.

– Mam dość kłótni – ucięła energicznie. – Komisarz de Groot mówi, że potrzebuje pańskiej pomocy. Podobno jesteście przyjaciółmi. A ma na głowie mnóstwo innych spraw.

Vos warknął – zwyczaj ten zapożyczył od swego psa – a potem ruszył w dalszą drogę. Bakker nadażała za nim, jej nogi pracowały miarowo, powoli, od czasu do czasu uderzała o ramę ciężkimi butami. Niezdarna, spięta młoda kobieta. Takie niezborne prowincjonalne pierwsze naiwne miejsca twarde z Marnixstraat pożerali na śniadanie.

– Oczywiście – odparł, starając się mówić rozsądnie. – Przecież to Amsterdam. Jakżeby inaczej?

Łódź Vosa niełatwo było zobaczyć z ulicy. Brzydki czarny kadłub cumował na Prinsengracht poniżej poziomu chodnika. Była najtańsza na rynku, gdy sprzedali z Liesbeth mieszkanie, podzielili pieniądze i poszli każde swoją drogą. Wymagała ogromnych nakładów, a on za nędzne grosze, jakie otrzymywał na wcześniejszej emeryturze, nie mógł sobie pozwolić nawet na połowę niezbędnych wydatków.

– Dzisiaj sąd apelacyjny rozpatruje sprawę oszusta, Thea Jansena – dodała. – Z tego, co słyszałam, raczej wyjdzie na wolność.

Kolejny nagły przystanek. Tym razem zapomniał przytrzymać psa. Sam szczechnął gniewnie, gdy rzuciło nim o przód wiklinowego kosza.

– Przykro mi, mały – mruknął Vos i pogłaskał go po sztywnej sierści. – Co takiego?

– Ten Jansen staje przed sądem dzisiaj po południu. Najpewniej zaraz wróci do...

Niemal przejechali cel. Sąd też znajdował się przy Prinsengracht, nieopodal Leidseplein. Jak większość życia zawodowego Pietera Vosa – komisariat, sąd, kawiarnie i puby Jordaanu, gdzie się zaszywał, by pogadać i pomyśleć, znajdowały się kilka minut spacerem od jego rozpadającej się łodzi.

– Jeśli ci kretyni wypuszczą Thea, to on w pierwszej kolejności rozpęta nową wojnę – powiedział. – Frank o tym wie tak samo jak wszyscy. Mam nadzieję, że jest na to gotowy. Co oni sobie myślą, na miłość boską?!

– Nie mają wyboru. Pan odszedł i nie dokończył swojej roboty, prawda? – Jeśli chciała, w jej bezbarwnym północnym głosie pojawiał się ton ostry i osądający. Zbyt dojrzały jak na jej wiek. – Tak to właśnie widzą na Marnixstraat. Pan odszedł, a ktoś, kto przyszedł na pańskie miejsce, wszystko schrzanił.

Córka przewodniczącego rady miejskiej albo została porwana, albo usiłowała wyłudzić okup. Dawny boss miejskiego gangu miał wyjść z więzienia, by zemścić się na surinamskim bandziorze, który w czasie odsiadki tamtego przejął jego teren, co ee shopy, burdele, sieć dostaw.

Pieter Vos doskonale rozumiał, czym się martwi jego stary przyjaciel.

– Ma pani dużo do powiedzenia od siebie, pani aspirant. Choć niezbyt taktownie.

Pochyliła się bliżej. Długi palec wycelowała w jego twarz. Zauważył, że obgryza paznokcie. Żadnego lakieru. Żadnego makijażu na twarzy.

– Nie wstąpiłam do policji, by się uczyć taktu. De Groot każał mi pana sprowadzić. – Jej oczy były zielone, bardzo okrągłe, jakby trochę za duże. Teraz płonęły w nich determinacja

i gniew. – I to właśnie zrobię. Choćbym miała jeździć za panem cały dzień.

Zduślił uśmiech i ruszył powoli.

– Nie chciałbym się powtarzać, ale przypominam, że nie jestem już funkcjonariuszem policji.

W jaskrawym wiosennym słońcu łódź wyglądała okropnie. Łuszcząca się czarna farba. Na pokładzie wysuszony ogródek. Pordzewiałe ogrodzenie. Drewno miejscami przegniłe. Na sąsiednim stanowisku cumował niewielki bączek zalany brudną wodą kanału. Tak samo jak dwa lata temu, w dniu, gdy Vos się wprowadził.

Dzięki tutejszemu zaniedbaniu i swoistemu zapomnieniu Vos czuł się swobodnie w tej spokojnej i leniwej części miasta. Bar Drie Vaten przy moście wychodzącym na Elandsgracht. Sklepiki i restauracyjki. A przede wszystkim ludzie. Jordaana był jego domem. Nie wyobrażał sobie, że mógłby żyć gdzie indziej.

Na Elandsgracht, na wysokości pomnika Johnny'ego Jordaana i członków jego zespołu pojawiła się tęga postać. Vos w swoich wytartych dżinsach nigdy nie myślał o sobie, że jest stary. Podobnie nie myślała tak o nim większość spotykanych ludzi, jak sądził. Wydawało mu się, że traktują go raczej jak cudaczny okaz, który żyje uwięziony w bursztynie swej łodzi, słucha starego rocka, od czasu do czasu odwiedza pobliski co ee shop, by wypalić skręta, i przesiaduje nad piwem w Drie Vaten.

Na widok Franka de Groota musiał się chwilę zastanowić. Liczący sobie czterdzieści dziewięć lat szef Marnixstraat był o dekadę od niego starszy. Ale wyglądał jak człowiek w średnim wieku – pomarszczona twarz, starannie ostrzyżone ciemne włosy i schludny wąs, ale jedno i drugie zbyt czarne, by kolor ten uznać za naturalny. Jego blade, zażawione oczy wydawały się zmęczone i zmartwione. Dzielili ich przepaść. Odkąd Vos zamknął się w łodzi przy Prinsengracht, czas jakby się dla niego zatrzymał, może nawet cofnął. De Groot został na posterunku i było to po nim widać.

– Pieter! Pieter! – Komisarz dopadł Vosa pospiesznie i wcisnął mu do ręki niewielką paczuszkę. – Tak myślałem, że może cię tu złapię.

– Ja tu mieszkam, Frank. Gdzie miałbym być?

– Mógłbyś siedzieć w Rijksmuseum – odparł de Groot z błyskiem w oku. – Albo w Drie Vaten gapić się na ślicznotkę za barem. Na pewno nie zastałbym cię przy naprawianiu tej cholernej łajby. A ten bączek...

Na podtopioną ruinę de Groot utyskiwał przy każdym ich spotkaniu.

Z klekotem i brzękiem nadjechała Laura Bakker, wyprostowała długie nogi i trzasnęła buciorami o ziemię.

– Właśnie zmierzam na Marnixstraat – powiedział Vos. – Aspirantka Bakker przedstawiła mi sprawę. – Zielone oczy wpatrywały się w niego zdumione. – Wykonała kawał dobrej roboty. Tak czy owak, nie mogę ci pomóc.

– Ser! – De Groot poklepał paczuszkę. – Z twojego ulubionego sklepu. Kaashuis. Podobno prosto od krowy. To limburgier... Pies skwitował obecność paczuszki zmarszczeniem nosa.

– Chcesz mnie przekupić serem? To żałosne.

De Groot skinął głową potakująco.

– Rzeczywiście. Pogadajmy. Piętnaście lat pracowaliśmy razem. Nie proszę o wiele.

Twarzy komisarza nie opuszczał uśmiech.

– Wyglądasz... ekscentrycznie. Jeszcze ekscentryczniej niż kiedyś, powiedziałbym.

Vos zsiadł z roweru, wyjął Sama z koszyka, wyciągnął z kieszeni smycz i torebkę foliową. Podał je Laurze Bakker.

– Chciała pani zwierzątko. Czas poznać, jak to jest. Niech pani po nim posprząta. Sam tego nie zrobi, a za niesprzątnięcie płaci się mandat.

– Nie wstąpiłam do policji, by wyprowadzać psy – zaprotestowała.

– Proszę to dla nas zrobić – warknął de Groot.

Jego głos w jednej sekundzie potrafi się zmienić z przyjaznego w groźny. Bakker chwyciła torebkę i smycz, po czym schyliła się, by zagadać do Sama.

– I niech nie żebrze o jedzenie – polecił Vos. – I proszę go trzymać z daleka od innych psów. On nie wie, że jest mały.

Patrzyli, jak Bakker przypina rower do barierki nad kanałem, a potem rusza wzdłuż jego brzegu za uszczęśliwionym, rozmerdanym ogonem dumnie drepającego teriera.

– To była nieczysta zagrywka – powiedział Vos.

– Która? – spytał de Groot tonem chodzącej niewinności.

– Przysyłanie po mnie biurowego matolka w nadziei, że weźmie mnie na litość. – Vos wpatrywał się w trzymaną w rękę paczuszkę w woskowanym papierze. – Nie cierpię limburgera.

– Nie znam się na serach, prawda? Ona nie jest matolką, Pieterze. Urodziła się w Dokkum nie z własnej woli. Po prostu tu nie pasuje. – Po chwili namysłu dodał: – Wydaje mi się też, że wierzy w Boga. – Pokręcił głową. – Żebyś wiedział, co ona tu wyrabia... Przepraszam. Myślałem, że to też spieprzy. Jak sądzisz, dlaczego sam przyszedłem?

Vos wstawił rower na pokład łodzi.

– Muszę błagać? – spytał de Groot. Następnie wskazał podtopiony bączek obok łodzi Vosa, pusty kadłub zakryty brudnym brezentem. – Mówiłem ci już setki razy. Powinieneś coś z tym zrobić. To niezgodne z prawem.

Vos złapał się za głowę i westchnął.

– To. Nie. Jest. Moja. Łódka. Pamiętasz?

De Groot przestępował z nogi na nogę, ze skruczą, ale jedynie umiarkowaną.

– Skoro stoi przy twoim domu, wygląda jak twoja.

– Chodź do środka – rozkazał Vos, a następnie pokonał trap i otworzył maleńkie drewniane drzwi do swojego mieszkania.

– De Groot chce, żebyśmy przyjechali na Marnixstraat – powiedziała Liesbeth Prins. – Wim? Słyszysz mnie w ogóle?

Jego gabinet należał do najokazalszych w ratuszu przy Waterlooplein. Wysokie okna, widok. Za oknem blade wiosenne słońce oświetlało miasto: kanały, kamienice, rezydencje i siedziby korporacji, a dalej rozległa, chaotyczna dzielnica De Wallen. Ponad osiemdziesiąt tysięcy ludzi w ściśle określonym lennie w centrum Amsterdamu. Pół roku temu jego ugrupowanie Postęp zdobyło zaskakującą liczbę mandatów w wyborach, a potem utworzyło kruchy sojusz z maleńką, antyunijną Partią Niepodległości. W późniejszych ciężkich targach o stołki Prins wywalczył dokładnie to, czego chciał: fotel wiceburmistrza ze ściśle określonym zadaniem.

Był czterdziestoośmioletnim, wysokim, imponującym, poważnym mężczyzną. Liesbeth poznała go jeszcze jako nastolatka, chociaż większość swojego życia spędziła z Pieterem Vosem. Wim z bogatego prawnika stał się teraz pełnoetatowym politykiem, a ona mimowolnie się zastanawiała: czy do tego jej potrzebował? Do dopełnienia wizerunku?

– Nie mogę już marnować czasu na jej gierki – odrzekł Prins, wertując jeden z licznych raportów na biurku. – De Groot powinien mieć coś lepszego do roboty. Bóg mi świadkiem...

– Myślisz, że ona jest zdolna do takiego okrucieństwa?

Chwycił ją za rękę i posadził. Spojrzał w oczy. Wielki człowiek. I smutny pod pewnymi względami. Nigdy nie było między nimi poufałości, humoru, glarnej bliskości, którą kiedyś dzieliła z Vosem.

– Znam ją lepiej niż ty. Zawsze tak się zachowywała, od śmierci Bei.

– Katja jest chora. – Głos jej zadrżał. Poczwała zimno. Może źle się czuła. Czarna sukienka, którą rano zdecydowała się

włożyć, zwisała luźno z jej chudego ciała. – Boże, Wim... Wiem, że zawsze cię bolało, że nie jest za bystra. Że nie jest prymusem. Nie jest geniuszem, który pewnego dnia przejmie po tobie schedę. Ale to jednak twoja córka...

Prins odłożył raport na biurko. Na okładce zobaczyła nazwę wypisaną dużymi czarnymi literami: *De Nachtwacht*.

Straż Nocna. Tytuł zapożyczony z najsłynniejszego amsterdamskiego obrazu, wielkiego dzieła Rembrandta wiszącego w Rijksmuseum. Grupa strażników miejskich wyruszających na patrol po mieście, by strzec jego spokoju. Zeszłej jesieni Prins nazwał tak kluczowy element swojej kampanii wyborczej. Obietnicę, że raz na zawsze zrobi porządek z De Walen. Koniec z półśrodkami. Żadnych kompromisów. Od początku przyrzekał, że obrzydzi życie dilerom, co ee shopom, burdelom, sutenerom i kurwom zajmującym tę dzielnicę od dziesięcioleci.

Nikt nie spodziewał się wygranej Prinsa. Ale wobec niekończącej się recesji i trudności gospodarczych ludzie gorączkowali się i robili się nieprzewidywalni. Szukali odmiany. Jakiegokolwiek. Potem Partia Niepodległości zaczęła zbierać głosy na fali nieufności wobec Brukseli i Unii Europejskiej. Wyczuli okazję i dołączyli do wrzawy. *De Nachtwacht* przerodziła się z mrzonki pomniejszego polityka w bliżej nieokreśloną misję, zapewniając mu pozycję drugiego w hierarchii. Miał nad sobą tylko jedną osobę, burmistrza z Partii Pracy, który z radością trzymał się z dala od *De Nachtwacht* i obserwował z boku coraz większe poruszenie związane z uruchomieniem projektu.

– To – rzekł Prins, stukając palcem w raport. – To jest teraz ważniejsze niż Katja. Jej już nie pomogę. Próbowałem. Ale może jakieś inne dziecko...

– Policja chce z nami rozmawiać.

– Powinnaś przyjść do mnie, zanim zadzwoniłaś na *Marinixstraat*.



Pokręciła głowę. Trzema kościstymi palcami przeczesła rzadkie, krótkie blond włosy.

– Ktoś podrzucił nam pod drzwi kartonową trumnę. Z lalką w środku. Z pasmem włosów. I plamą krwi...

– To kolejna z jej gierek...

– Lalka! Kosmyk włosów. Krew.

Prins przymknął na chwilę oczy.

– Kiedy ona chce pieniędzy na prochy, nie cofnie się przed niczym. – Spojrzał na biurko i leżące na nim raporty. – Oni wszyscy tacy są.

– Katja nie jest bez serca. Nie... nie zadrwiłaby ze mnie w ten sposób.

– Ty zawsze dopatrujesz się w ludziach jakiegoś dobra. – Puścił ją. – Zwłaszcza jeśli go tam nie ma. Trzymaj się od tego z daleka.

– Jak mam to zrobić? To niemożliwe.

Nie słuchał. Na jego twarzy pojawił się grymas. Uśmiech przeznaczony dla publiczności.

W drzwiach stała Margriet Willemsen, ambitna młoda kobieta, która przewodziła Partii Niepodległości. Za nią zaś Alex Hendriks, szef biura rady miejskiej. Drobnutki, spokojny mężczyzna, którego całe życie zdawało się toczyć w wielkich gabinetach ratusza znajdującego się obok Opery Narodowej przy rozległym placu niemal w sercu Amsterdamu.

– Mamy spotkanie w sprawie De Nachtwacht – powiedział Prins głośno i wyraźnie. – Zadzwoń do mnie później...

– Możesz znaleźć czas, jeśli zechcesz – nie ustępowała. – Dla dobra Katji...

Wciąż się uśmiechając, objął ją ramieniem i wyszeptał:


– Powiedz de Grootowi, że nie chcę, by to tra ło do gazet. Nie chcę jej widzieć w sądzie, nie chcę jej widzieć, jak będą ją zgarniać z rynsztoka. Niepotrzebne to ani nam, ani jemu. – I lekkim tonem dodał: – Margriet. Alex.

– Wszystko w porządku? – spytała kobieta. – Nie chcielibyśmy przeszkadzać...

– Nie przeszkadzacie. Usiądźcie, proszę. – Znowu uśmiech.

– Liesbeth właśnie wychodziła.





**Kolejna mroczna powieść autora *Dochodzenia*.**

Amsterdam. Przed trzema laty w niewyjaśnionych okolicznościach zaginęła szesnastoletnia Anneliese, córka detektywa Pietera Vosa, a on sam, nie mogąc rozwikłać tej sprawy, porzucił pracę w policji i zamieszkał samotnie na zniszczonej łodzi. Całymi godzinami przesiaduje w Rijksmuseum, wpatrując się w domek dla lalek Petronelli Oortman, w tajemniczy sposób powiązany ze sprawą zniknięcia Anneliese.

Po zaginięciu kolejnej nastolatki, córki prominentnego polityka, Vos musi wrócić do służby i poprowadzić sprawę. U jego boku staje Laura Bakker, młoda i niedoświadczona policjantka z prowincji, niezdarna i zagubiona w wielkim mieście.

W labiryncie niedomówień, kłamstw i powszechnej hipokryzji szukają rozwiązania zagadki zaginięć, ale wszystko coraz bardziej się komplikuje. Za drzwiami znacznych mieszczańskich domów kryją się mroczne tajemnice, bezwzględni gangsterzy walczą o władzę nad przestępczym imperium, policję zżera korupcja, a moralność zdaje się istnieć tylko w hasłach populistów – w takim Amsterdamzie niełatwo prowadzić śledztwo.



PATRONAT MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII

